



Radość Śpiewania

„Jak dobrze nam zdobywać góry i młodą piersią wchłaniać wiatr” - śpiewaliśmy w młodości na wycieczkach. „Płonie ognisko i szumią knieje” - to przy ogniskach, niekoniecznie harcerskich. „Stokrotka rosła polna, a nad nią szumią gaj” - podczas rajdów marszowych. „Góralu, czy ci nie żal” - przy biesiadnym stole, gdy mieliśmy solidnie w czubie i słowiański liryzm szukał ujścia.

Jak sobie wspomnę te śpiewania, to nie były one zachwycające. W zbiorowym śpiewaniu nie jesteśmy mocni. Wystarczy zajrzeć w niedzielne przedpołudnie do kościołów i posłuchać, jak lud śpiewa nabożne pieśni. Radosną „Chwalcie łąki”, triumfalną „Bóg się rodzi”, szumną niczym husarskie skrzydła „Boże, coś Polskę”, bez najmniejszych skrępułów zamienia w dziadowskie rozwlekle ciągoty.

W pamięci mojej utrwaliły się pewne wakacje spędzone wiele, wiele lat temu, na obozie młodzieżowym w Puszczy. Czesi, Rosjanie, Polacy. Były gitary, akordeon, znalazła się też okaryna. Śpiewaliśmy wieczorami chętnie i często. Pókiśmy śpiewali razem, było wszystko w porządku. Brzmieliśmy donośnie i energicznie. Lecz gdy zaczęliśmy popisywać się lokalnymi specjalnościami, gdy nutę przejmowali Polacy, bywało, że umierałam ze wstydu i zgrozy. Z pełnej wdzięku i temperamentu młodzieży, błyskotliwej i dowcipnej, zamienialiśmy się w stado smutnych, sentymentalnych, buczących baranów.

Niedościgli byli Rosjanie. Zakompleksieni, nieufni, towarzysko najmniej swobodni, w śpiewaniu rozkwitali. Stawiali się konstruktorami precyzyjnej muzyki, od ręki improwizowanej, z podziałami na kilka, kilkanaście głosów, z olśniewającymi popisami solowymi. Czesi też byli od nas lepsi, bo rzetelni i zdyscyplinowani.

Moje poczucie patriotyzmu cierpiało okrutnie. Ze Staszkiem Prokopiakiem chcieliśmy czasem poderwać nasze towarzystwo skróceniem rozwleklej frazy lub podcięciem nutki synkopką - ale ginęliśmy w tłoku rozwleklonych dźwięków. Na krytyki w ogóle nie zwracano uwagi. Zwalano na akordeon. Że wlecze.

Pewnego razu, bardziej niż zwykle nie wzbudzaliśmy zachwytu. Podpuszczona przez Prokopiaka, zerwałam się, stanęłam na tle ogniska, rozkrzyżowałam ramiona i rąbnęłam monolog Kordiana na szczycie Mont Blanc. Nic nie rozumieli, siedzieli jak na tureckim kazaniu, ale ja sadyłam jak szwoleżerowie przez Somosierę, ze szwungiem i rozmachem, refleksyjne kawałki zamieniałam w bunt i kiedy dochodziłam do Winkelrida, wiedziałam, że zwyciężyłam powszechne ziewanie. Okrzyk „Polacy!” wydarłam z siebie jak wódz Siuksów na szczycie Czerwonych Skał.

Na polanie siedziało parędziesiąt gąb w zupełnym milczeniu. Słychać było tylko pęknięcie iskier w ognisku i cug wiatru w konarach drzew. Zastygłam w patriotycznym uniesieniu.

Raptem grzmotnęła „Warszawianka”. Nasi! Nareszcie! Śpiewali jak gorejące chęcią walki anioły! Byłam szczęśliwa.

Wprawdzie jeden z kolegów powiedział mi potem, że mówiłam zupełnie bez sensu, ale ja uważałam, że to oni byli bez sensu, bo przecież mogli zawsze tak śpiewać i że im tego nie zapomnę.

Zda się, powiedział coś takiego:

- No wiesz, moja droga - i rozłożył ręce. Te ręce to dobrze zapamiętałam, bo je potem przedrzeźniałam.

Artystyczny walor mojego występu zupełnie mnie nie obchodził. Sądzę, że była to jedna wielka histeria i kolega miał rację, ale kiedy

się ma siedemnaście lat i we łbie zielono, kryteria jakości są dość zamazane. Liczy się tylko skutek, a ten osiągnęłam, albowiem udowodniłam, że Polacy nie łachmyty, swój temperament w śpiewaniu mają.

To dawne, i jak zapowiedziałam koledze, niezapomniane zdarzenie nawiedziło mnie podczas Festiwalu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu.

Jednego dnia, od 12.00 w południe do 9.00 wieczorem, słuchaliśmy w Teatrze PWST na Braniborskiej śpiewających studentów ze wszystkich uczelni teatralnych. Z Białegostoku, Warszawy, Wrocławia, Łodzi, Krakowa, spod pedagogicznych rąk Wojciecha Szlachowskiego, Andrzeja Strzeleckiego, Zbigniewa Zamachowskiego, Wojciecha Kościelniaka, Zbigniewa Piotrowskiego i hetmana koronnego szkolnej piosenki Marty Stebnickiej.

Sala wypełniona po wręby publicznością, głównie młodzieżową. Za kulisami nastrój radosnego podniecenia przemieszanego z okropną tremą. Nawet pedagogom oczy świeciły z ekscytacji przed konfrontacją, choć mocno się trzymali i udawali, że przecież to nic takiego. Nie szczędzili swym pupilom uwag, dobrych rad i serdeczności.

W bufecie podczas przerw nieludzki tłok. Sprzęgnięte festiwalowym koleżeństwem, złapałyśmy z Aliną Janowską po papierowym kubeczku kawy, bułę z wędliną i mdłym, jak jasna cholera, majonezem i poleciałyśmy z powrotem na salę. O tych bułach przesiedziałyśmy dziewięć bitych godzin, śledząc z uwagą i zainteresowaniem śpiewający wyścig nie o pierwszeństwo, bo przegład nie przewidywał nagród, lecz o najdoskonalej, najszlachetniej, najczyściej manifestującą się lojalność wobec swojej szkoły, pedagogów, kolegów. Nie oszczędzali się, nie migali, pracowali rzetelnie. Śpiewali jak gorejące chęcią walki anioły.

W dziewiątej godzinie maratonu, kiedy nam już w głowach huczało i kołowało od nadmiaru dźwięków, młodzież krakowska pod wodzą Ewy Korneckiej zabrała się do śpiewania zespołowego. Mimo zmęczenia, moje zadowolenie nie miało granic. Ta drobna, o kędzierzawych włosach, w okularach na nosie, z energią czterech akumulatorów dziewczyna, naładowała kilkunastoosobowy zespół taką dynamiką, że od jego śpiewania tańczyła i podłoga, i ściany, i krzesła, i ludzie w krzesłach, i cały świat dokoła. To była radość śpiewania. Gdybym była nastolatką, napisałabym, że dali czadu. Mnie wypada powiedzieć, że śpiewali pięknie. Z wdziękiem. Z błyskiem. Z wigorem. Czysto. Harmonijnie. Z uwagą na słowo, dźwięk, strój. Że byli w tym śpiewaniu piękni. I od ich śpiewania my pięknieliśmy.

Mimo woli obudziły się wspomnienia i tęsknoty za własnymi śpiewającymi latami, a myśli podążyły do tamtego zdarzenia, tamtej młodzieży, do puszczy, ogniska, Prokopiaka, Warszawianki, cugu w konarach drzew. Do tamtego mojego uniesienia.

- Eeech! Młodość to dobra rzecz - westchnęła idąca obok mnie mokrą ulicą Alina.

- Gdzie byłaś?

- Na szczytach mojej młodości.

- Ty też?

- A ty też?

Zaczęłyśmy się śmiać. Śmiałyśmy się cudownie radosnym śmiechem. Tę rzecz przecież miałyśmy, była nam darowana, objadłyśmy się nią do syta, pamięć jej nosimy w sobie do dziś, czerpiemy z niej wszystko, co miała najlepszego dla trwania, mozołenia się, starzenia. Czujemy się milionerkami.

- Idziemy na wódkę?

- Idziemy.

Jak dobrze nam zdobywać góry.

I młodą piersią wchłaniać wiatr...

Wódka dwóch pań składała się ze śledzika z gorącymi kartofelkami i po jednym kieliszku, czyli tzw. pięćdziesiątce czystej wódeczki. Nie te czasy dobrodziejko, nie te czasy.

Prawdę powiedziawszy, śpiewać to my też już nie bardzo możemy, ale jeśli to robimy, to przynajmniej głośno i z werwą.

... Prężnymi stopy deptać góry.

I palce ranić ostrzem skał... sic!